№ 1.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1842. Poznań, dnia 5. Stycznia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Anna Jakwiczówna.

Powieść przez B. F.

1.

Skwarny był dzień lipcowy, każdy się chronił jak mógł przed upałem słońca, jednak grono niewiast stało koło fontanny w Poznaniu na rynku głośno rozprawiając. Konwie wodą już napełnione, a one tylko w małych czapeczkach na głowach pieką twarze na słońcu. Coraz więcéj ich przybywa, przekupki ze swoich stołków się podniosły, a wszystkie spoglądają ku ratuszowi gdzie radni miasta spieszą wszystkiemi stronami. Pilno im widać, bo idą co sił starczy, a karabele rozpuszczone w takt pobrzękują.

»Przyjdą Szwedzi« mówiła smukła jasno-włosa młoda dziewczyna w białéj czapeczce, w modréj sukni płóciennéj, z zagiętemi u koszuli rękawami — »powiadał mi pachołek z ratusza co był pana ławnika na radę wołać, że panowie wojewodowie po to na ratusz zajeżdżają, żeby naszym panom o tem powiedzieć.«

»Mój Boże! już oni też wszystko popalą, porabują« mówiła druga.

»Kto wie, może ich nie wpuszczą« mówiła inna. I tak radziły i politykowały, kiedy się do nich zbliżył młody brunet wyświeżony od czerwonych butów aż do czupryny ze szwedzka, jak wtedy było najmodniéj, i zapytał jasno-włosej »Czy pan ławnik jest w domu.«

»Nie masz go mości chorążycu, szedł na ratusz na wielką radę, bo Szwedzi mają przyjść.«

»No, no, czy już przysłali do ciebie orędzie moja Brygidko« odrzekł z uśmiechem, i nieczekając dalszéj gadaniny, karabalę podjął w rękę i spieszył ku wielkiéj ulicy.

Spojrzał w okna pierwszego piętra narożnéj kamienicy, wszedł do niéj i prędko przebiegł po ciemnych schodach. Z lekka chwycił za klamkę, słuch natężył — ale cicho było. Wszedł więc do dużéj komnaty, tu nikogo nie zastał; spojrzał do drugiéj wązkiéj — tam młoda dziewczyna i starsza niewiasta, wyjmowały ze szafy srebra i pakowały w skrzynie. Przybyłego karabela po dębowéj posadzce brzękła, one się obróciły. Starsza przyjęła go zwyczajnemi wyrazy powitania, choć niby uprzejmie, jego przybycie widocznie ją zakłopotało. On ją w rękę pocałował. A kiedy z kolei młodszéj dłoń ujął, ona mówiła spiesznym głosem, z radością w oczach:

»Więc pan chorążyc tu, więc nie u Szweda.«

»Ja u Szweda panno ławnikówno!« i puścił jéj rękę, i gniewliwie spojrzał na nią, że aż przelękniona oczy spuściła i rzekła z nieśmiałym głosem:

»Bo to mówili, że wszystka szlachta przeszła do Szweda.«

»Więc kłamał, kto to pannie ławnikownie mówił, bom ja szlachcić a nie poszedłem.«

Widać, że nie zwykł tym tonem do niéj przemawiać, bo się nagle odwróciła i zajęła pakowaniem. Starsza niewiasta wskazała mu stołek, przepraszając, że nie przerywa zatrudnienia, bo Bóg wie, może Szwed wnidzie, trzeba przed nim wszystko uskromnić.

On złożył czapkę na marmurowym stoliku, prawą ręką czarny wąsik pokręcał, a lewą bawił się rapciem karabeli. — Po chwili wzrokiem

obrażonym spojrzał ku ławnikownie, choć jéj twarz była odwróconą, ale drżące ręce zdradzały silne wzruszenie. Żal mu jéj było, zbliżył się do niéj, i widział jak dwie łzy spłynęły z ciemnych rzęsów. Zmiękczony pochwycił ją za rękę.

»Panno Anno, cóż to, płaczecie! o nie płaczcie, nie gniewajcie się na mnie« mówił ze smutkiem — »jam tu z taką radością szedł do was, a wy mię tak witacie. Myślałem że i panna Anna szlachcica cierpieć nie może.«

Ona za całą odpowiedź ścisnęła go za rękę, mimowolnie wzrok wróciła ku matce, a na jéj twarzy dojrzała nieukontentowanie. Zmieszana usunęła rękę i cała oddała się zatrudnieniu. Chorąży powrócił na swój stołek, znów wąsik w milczeniu pokręcał, ale tym razem na Annę czule spoglądał, i ona czarne oczki ku niemu zwracała.

»Stało się coś, bo jegomość tak prędko wraca« zawołała matka. W téj chwili drzwi się rozwarły i męczyzna podstarzały, ale silnéj postawy stanął w progu.

Chorążyca twarz oblała się żywym rumieńcem, porwał się z miejsca, chwycił za czapkę. Przybyły spostrzegłszy go, nasunął brwi na oczy, a czoło i tak stroskane całkiem się zachmurzyło. Postąpił jednak ku niemu, pokłonił się z grzecznością i prosił siedzieć.

»Cóż się stało że waść tak prędko wrócił?« zapytała matka z niespokojnością.

»Źle się dzieje,« odrzekł z goryczą — »Szwedów tylko u nas patrzeć, pan wojewoda kaliski przyjechał tu z trębaczem szwedzkim, *) pan burmistrz powołał nas na radę i otóż mamy nieprzyjaciela przyjąć. My mieszczanie chcieliśmy się bronić do ostatniéj kropli krwi« mówił daléj obróciwszy się do chorążyca — »ale cóż kiedy panowie wojewodowie powiedzieli, że na nas uderzą, bo ich królowi zaprzysięgli wiarę.«

Chorążyca prawa ręka mimowolnie schwyciła za rękojeść karabeli. »Panie ławniku i wpuścimy Szweda?«

»Przecież panowie szlachta wpuściliście ich do całego kraju, to by nas wstyd było, żeby my łyki mieli ich nie wpuścić do jednego miasta« odrzekł ten z przekąsem.

»Jam ich nie wpuszczał.«

»Ale im waszmość nie bronił wniścia z drugą szlachtą, a przecież to tylko waszmoście umiecie bronić ojczyzny!«

»Będę jéj bronił do ostatniéj kropli krwi.«

*) Patrz obraz miasta Poznania strona 332. Tom. II.

»Daj Boże! Daj Boże!«

Na te słowa powątpiewania chorążyć się zmarszczył i spojrzał gniewem obrażonéj dumy, nie rzekł jednak i słowa, tylko niewiasty pożegnał pocałowaniem w rękę — ławnika niskim ukłonem, i wyszedł.

2.

Całą noc była wrzawa na ulicach; mieszkańcy gromadzili się po kościołach, każdy błagał o zasłonienie miasta, o odwrócenie klęski. Ale ich modły nie były wysłuchane, bo nie mieli wiary we własne siły i w moc Boską.

W dzień świętéj Anny 1656. roku słońce weszło czysto i oblało Poznań swoją jasnością, lecz chmur z czoła mieszkańców nie rozpędziło.

Krzyż farnego kościoła zdawał się ku miastu wyciągać ramiona, przypominając że jest znakiem wiary i poświęcenia — ale nikt tego nie rozumiał. Tłumy mieszkańców snuły się po ulicach każdy stroskany, choć nie wszyscy z równych powodów. Iluż z nich miało tylko w myśli swoje sklepy, swoje kosztowności.

Były jednak i dusze co tlały czystym ogniem; co kochały kraj bardziéj jak dzieci, żonę, rodziców, choć dla każdego z tych oddałyby życie, jednak wszystkich razem poświęciliby ojczyznie.

W tym tłumie szło dwóch młodzieńców. Jeden z nich w niemieckim stroju, z polska tylko nosił wąsy, i polska czapka przykrywała jasne półdługie włosy. U smukłéj kibici wisiał długi nóż w skórzanéj pochwie srebrem haftowanéj. Obok niego idący był barczysty i silny brunet, przybrany w polski strój, tylko zamiast karabeli także z nożem u pasa. Choć na ich twarzach wybijał się smutek, jednak przestrachu nie było tam można dojrzyć. Szli w milczeniu z garbarskiéj ku wielkiéj ulicy, kiedy wprost przed sobą ujrzeli młodzieńca, patrzącego to w drzwi, to w okna narożnéj kamienicy.

»To chorążyć Czechowski« rzekł idący w pół niemieckim stroju.

»Czechowski« odmruknął drugi — »zapytajmy tego szlachcica, kto też to nieprzyjaciela sprowadza.« I uśmiech pół gniewny, pół szyderczy przeleciał po rumianéj twarzy.

»Dzien dobry panie chorążycu, a szwed o któréj godzinie wnidzie?«

»Ja mu bram nie będę otwierał, to nie wiem.«

»A przecież panowie szlachta mają na nas uderzyć, jeżeli bram nie otworzym, toć oni nieprzyjaciela wprowadzą.«

Twarz chorążyca na te słowa pokryła się żywym rumieńcem, gniewnem okiem zmierzył mówią-

cego, a prawa ręka ujęła za karabelę, ale nagle tam została jakby z kamieniała. Stał tak chwilę.

»Panie Jakwiczu, czym ja winien« mówił ze smutkiem -- »że między szlachtą tylu łotrów?»

»A więc brońmy razem kraju a nie upierajmy się kto lepszy« rzekł Jakwicz i podał chorążycowi rękę — ten ją przyjaźnie uścisnął. Chorążyc wyciągnął dłoń ku młodzieńcowi w pół niemieckim stroju, i ten uczynił ruch do podania swojéj — ale ręce ich się nie schwyciły, i ciała jakby się odsunęły.

»Grygerze! panie chorążycu! czy macie jeszcze coś milszego na świecie nad dobro ojczyzny?« mówił Jakwicz poglądając na nich kolejno. Ci stali nieruchomi.

»Dziś nie czas do swarów miłośnych, kiedy wspólnéj sprawy mamy bronić! podajcie sobie ręce.« I ręce się zbliżyły ale nie serca.

»W każdéj potrzebie będę z wami« rzekł chorążyć, i wmieszał się w tłum, a ci dwaj weszli do narożnéj kamienicy.

Cicho szli po schodach, z lekka drzwi otworzyli, machinalnie umaczali palce w srebrnéj kropielnicy, i przeżegnali się krzyżem świętym.

W komnacie zastali Annę bladą i zapłakaną, nad rozłożoną księgą oprawną w czarny aksamit ze srebrnemi klamrami; czytała psalm w utrapieniu. Przed nią leżał bukiet świeżych kwiatów.

Jakwicz zbliżył się do niéj, pocałował w czoło i powiedział krótko: »Oby Bóg moja Anusiu za przyczyną twojéj świętéj patronki zsyłał ci wszystko dobre.«

I Gryger zbliżył się do niéj, pocałował w rękę, i nieśmiałym głosem wyrzekł kilka słów życzenia. Ona mu niedbale podziękowała i zwróciła się do Jakwicza:

»Stefanie! to wiele, żeś nie zapomniał o motéj świętéj patronce?

»W tem kłopocie byłbym może nie pamiętał, ale mi Grygier przypomniał.«

»Dziękuję za pamięć mości Grygerze« rzekła, nie spojrzawszy na niego, wzięła leżący bukiet na stole i silnie go w ręku cisnęła.

»Któż przyniósł te kwiaty?« zapytał Jakwicz.

»Brygidka.« Brat był zaspokojony tą odpowiedzią, ale nie Grygier. Przeglądał bukiet w milczeniu, widział tam róże, niezapiminajki, rozmaryn i cyprys; wiedział że to miłość niezmienna, ślub, lub śmierć. Domyślił się że nie Brygidka ten bukiet składała. Patrzał na Annę, na jéj piękne czarne oczy, miłośnie na bukiet spuszczone, na łzę która na niego spadła; a serce mocno mu biło, i mimowolne westchnienie wydobyło się z piersi.

Jakwicz zbliżył się do okna. »Co to ludzi« krzyknął — »wszystko by się biło, byleby poprowadzono!«

Wszyscy troje stanęli w oknie. Anna trzymała jeszcze bukiet w splecionych dłoniach, ale oczy zwrócone były na rynek, bo serce znalazło tam tyle żywéj boleści, że każda inna niknęła. I Gryger strzelał gdzieś okiem daleko. Widać, że wtéj chwili jedna myśl nad niemi panowała — myśl żalu nad niedolą miasta. Na całym rynku nie mała rozpacz panowała. Męczyzni uzbrojeni, z czołami zasępionemi, zwolna się przechodzą, raz po raz broni próbują, albo jéj się z uteschnieniem przyglądają. Szynkarki i przekupki utrzymują: że byle im dać broń, one by miasto zasłoniły. Wszędzie boleść uroczysta, ale nikt nie płakał — bo kiedy cały naród wielkie nieszczęście dotknie, tam łez nie masz, święta zemsta tylko drga w sercach, a biada narodowi który nad swoją niedolą płacze!

»Otoż i trębacze« razem tysiąc głosów zawołało, a sześciu szwedzkich rajtarów z białą chorągwią szlo na ratusz.

»Otoż i trębacze« powtórzyli stojący w oknie głosem grobowym. Stali bladzi jak posągi, wzrok mając we drzwi ratuszne wlepione. Jakwicz nagle się porwał, poskoczył do drugiéj komnaty, otworzył szafę, a znalazłszy ją próżną, zawołał: »gdzie broń?«

Anna stanęła obok brata, spojrzała na twarz jego a widząc go pierwszy raz w życiu tak bladym, przelękniona pytała: »Stefanie! cóż to, umierasz?«

»Umrę, jeżeli nieprzyjacielowi w oczy nie zajrzę. Gdzie broń?«

Anna sobie przypomniała, że ojciec ją w nocy powynosił.

»Wszędzie ja znajdę szablę i kulę na nich« i uśmiechnął się jakby na myśl o jakiem szczęściu. Uścisnął siostrę czule, Grygerowi dłoń podal, rzekł do niego: »Zostań, tu ty będziesz potrzebnym, ja idę, bo się tylko zdam do boju.« Obejrzał się po komnacie i zapytał: »Gdzie rodzice?«

»Ojciec na radzie — a o matce, zapomniałam mój Boże!« zawołała Anna, i przez sień szła do tylnéj izby. Cicho drzwi otworzyła, stąpała na paluszkach i brat szedł za nią.

Matka leżała w białéj pościeli pogrążona w śnie głębokim. Firanki wiszące u łóżka z zielonego adamaszku, na pół tam światło dzienne wpuszczały. Syn ukląkł przy śpiącéj. Długo patrzał w to oblicze, które go uczyło cnoty, które czułem uśmiechem, zdrową poradą, tyle razy spędziła chmury z czoła,

i rzuciło pierwszy zaród miłości w jego duszę — a nadewszystko nauczyło go kochać ojczyznę!

Na raz łzy zabłysły mu w oczach — on który nie zapłakał od trzech lat swego życia. Ale myśl, że może matki już nie zobaczy, nigdy jéj głosu nie usłyszy, dziwną boleścią serce mu ścisnęła. Podniosł się jakby od ołtarza przed którym odprawił modlitwę i cicho wyszedł z komnaty.

Nad schodami Anna uczepiła mu się ręki; »Stefanie, ty nas opuszczasz — o czemuż nie mogę iść z tobą! Ale rodzlce, rodzice, co oni bez ciebie poczną.«

»Gryger mnie zastąpi« i podał temu rękę, serdecznie się ścisnęli — siostrę pocałował w czoło, i znikł na ciemnych schodach.

Anna pozostała jak martwa, zdawało jéj się że brata na zawsze z oczu straciła, a jednak zatrzymać nie byłaby go chciała.

Razem wbiegła do komnaty, jakby się gwałtem chciała oderwać od tego miejsca rozstania. Usiadła na ławie, bo oknem już nie miała serca patrzeć za odchodzącym. Gryger splótł ręce na piersiach, oparty o framugę spoglądał na rynek. Po chwili wyrzekł smutnym i uroczystym głosem: »Więc Stefan poszedł bić nieprzyjaciela!« A Anna jakby jego echo odpowiedziała »poszedl.« Spojrzeli ku sobie. Gryger zadrzał jakby się nie spodziewał jéj przytomności, a ona patrzała ku niemu wzrokiem przyjaźni, bo myśl o Stefanie łączyła ich w téj chwili. On westchnął i odwrócił się, a ona zatopiła się w myślach.

Wszedł pan ławnik. córka poskoczyła ku niemu, on ją w głowę pocałował — Grygerowi rękę podał, wszystko się to odbyło w milczeniu. Czapkę złożył na dębowym stole, karabelę odpasał, usiadł — a po chwili zapytał: »Był tu Stefan?«

»Był. Bóg wie czy go jeszcze zobaczymy« odrzekła Anna smutnie.

»A matka już wie?«

»Nie wie, bo ją śpiącą pożegnał.»

»Na toć my go wychowali, żeby bronił kraju, jeżeli będzie wola Boża, wróci zdrowo. On szczęśliwszy bo idzie Szweda bić, a my — musimy na niego spokojnie spoglądać i przyjąć jak pana.« Gorzko te ostatnie słowa wymówił, splotł palce i głowę schylił ku piersiom. I znowu zamilkli. Bo w wielkim smutku, jak w wielkiéj radości słów nie ma, uczucie zestrzelone w jeden punkt władzę zwyczajnych wysłowień odbiera. O wtedy każdy jest poetą bo pojmuje tak głęboko, i w takim ogromie, że mu aż ludzkie słowa niewystarczą.

Anna patrzała w oblicze ojca, i widziała tam całą walkę jego duszy. Żeby myśl zwrócić w inną stronę zbliżyła się, pocałowała w rękę i rzekła:

»To dziś mojéj świętéj patronki.«

»Nic dziwnego moje dziecię że o tem zapomniałem« i zdrętwiały smutkiem ledwie kilka słów życzeń wymówił. Uścisnął córkę czule — a potem zwrócił się do Grygera. »Bądź opiekunem mojéj żony i córki, bo czuję że upadnę pod ciężarem smutku.«

Anna przyczepiła usta do ręki ojca: »kochany ojcze, pocóż o śmierci gadasz, czy już nie dość nieszczęścia?« I temi smutnemi słowy, chciała zagłuszyć przestrach, który ojciec wrzucił w jéj duszę, wzywając dla niéj opieki Grygera.

»Tyś mój drugi syn« i wyciągnął ku Grygerowi rękę, ten ją z uszanowaniem całował. A Anna odsunęła się od ręki ojca, wzięła bukiet ze stołu i silnie go w dłoniach cisnęła. Gryger to postrzegł i westchnął.

3.

Słońce coraz wyżéj się podnosiło, upał zaczął dokuczać, ale dzisiaj nikt go się nie bał, nikt się przed nim nie chronił. Kupcy pozamykali sklepy, rzemieślnicy warsztaty poopuszczali, gospody czeladzią pozapełniane, wszędzie radzą nad jednem, wszędzie przeklinają tych samych.

Do domu ławnika Jakwicza zaczęli się schodzić znajomi i sąsiedzi. Gospodarz kazał zastawić śniadanie, ale nikt go nietknął, choć wędliny tak smaczne, miód i wino czyste jak bursztyn; a co więcéj że gospodarz nawet nie naglił.

Komnata zapełniała się przybywającemi, zasiadali ławy i stołki, już nie podług godności, jak się to zwykle działo, lecz jak który przyszedł tak usiadł. Byli to członkowie magistratu, kupcy i starsi cechów. Każdy przynosił jaką nowinę. To że Szwedów ciągnie kilkanaście tysięcy, i panów szlachty z niemi tyluż, a miasto ma ich wszystkich podejmować; to że Radziejowski ma potajemne pismo od króla szwedów, żeby miasto na łup oddać. Jedni te wieści zbijali, drudzy wierzyli, a we wszystkich oczach był smutek, na czołach troska.

Z cicha się drzwi otworzyły i wszedł Jezuita. Pochyliwszy głowę z pokorą, i złożywszy ręce na piersiach, wyrzekł cichym głosem: »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, pokój temu domowi.« — »Na wieki wieków amen; Bóg zapłać!« — odrzedł gospodarz, a przybyły zasiadł z drugimi.

»Ojcze Renardzie, cóż mówicie na to że szweda wpuszcamy« rzekł pan ławnik takim głosem jakby się przed nim oskarzał.

Jezuita ręce złożył w pokorze, oczy spuścił, i mówił czystą polszczyzną ale francuzkim akcentem.

»Waszmoście jesteście ojcami miasta, wy też najlepiéj wiecie co robicie.«

»Ale ojcze powiedźcie jak sądzicie, na kogoż wina spada, czy na nas, czy na tych co nas do tego kroku zmusili?«

»Ja nad ziemskiemi rzeczami mało rozmyślam, na nikogo kamienem nie rzucam, boć wiem żeśmy wszyscy nie bez winy. Bóg czuwa nad narodami i na was spojrzy łaskawem okiem.«

»Ojcze!« ozwał się głos silny — »przecież i wy do naszego narodu należycie, jezeli macie wolę potemu, wszak tyle lat już z nami jesteście.«

»Moją ojczyzną jest cały świat, a moją wolą — wola moich przełożonych.«

»Ha! toć wam wszystko jedno choć i Szwed przyjdzie.«

Jezuita spojrzał ku mówiącemu, lekceważeniem odwrócił się od niego, on się starał tylko o łaskę możnych, bo chciał wpływać na władzę, a ta była u cechmistrza rzeźników.

Znów wszyscy wrócili do przedmiotu, który im najbardziéj na sercu leżał, i powtarzali: co panowie wojewodowie mówili. Gryger w ciągu téj rozmowy siedział milczący, ale kiedy wspomniano wojewodę kaliskiego ozwał się:

»Cóż dziwnego że pan wojewoda wprowadza nieprzyjaciela w nasze mury, a przecież on królowi Szwedów wyprawił już ucztę we własnym domu, król przyjechał tylko w dwanaście rajtarów, gdyż wiedział że jest bezpieczny i u przyjaciela.«

»Pfuj« splunął rzeźnik — »przyznam się Waszmość panom, żebym wolał jeść z jednéj miski z tem tu moim chwytajem (i wskazał na brytana leżącego przy jego nogach) niż ze Szwedem.«

»Widać że pan wojewoda ma mocną naturę« przerwał drugi — »bo łepsko wyglądał, nie struł się choć wychylił kielich za zdrowie Szwedów.«

I całe grono rozochociło się na chwilę, i satyrą wyrzucali ze siebie na tych, co mieli być pierwszymi, a oni się podali na wzgardę wszystkim.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rozwijanie się stósunków familijnych.

Przez K. Libelta.

Stósunek syna do ojca *).

Pierwszym zawiązkiem familii jest mąż i żona. Spojeni w jedną społeczną istotę silnym węzłem miłości, są na podobieństwo punktu środkowego, który się z czasem roztacza na obszerniejszą powierzchnią koła rodzinnego, który raz po raz wysyła ku obwodowi nowe punkta, sympatyą krwi, niby promieńmi utajonémi powiązane. Na tym obwodzie tworzą się nowe środki, rozpowierzchniają się w nowe koła, a system tych kół tworzy społeczność. Takim obrazem objaśnia się owa kosmogoniczna powieść o pierwszych rodzicach. Punkt jeden miłości pryśnięty z łona Bożego na kulę ziemską bezludną, a zeń rozrodzenie się rodzaju ludzkiego na tysiąc milionów dusz. Pierwszy środek familijny, rozpromieniony na nieprzejrzany system kół familijnych.

Początkiem więc każdéj rodziny jest ożenek, dla téj swojéj ważności w społeczeństwie, zawsze pewnémi formami uświęcony, w chrześciańskim świecie, wyniesiony na sakrament małżeństwa. Następstwem i owocem tego połączenia się przez miłość dwóch istót różnopłciowych, są dzieci, tworzące z rodzicami koło familijne. Jak się rozwijał i emancypował stósunek żony do męża powiedzielismy. Pozostaje nam wykazać rozwijanie się i wyzwalanie stósunku dzieci do rodziców, a w szczególności syna do ojca. Matka, jak się to poprzednio pokazało, podrzędne długo w kole familijném zajmowała miejsce, jéj powaga niknęła przed powagą męża i ojca, jako głowy domu i rodziny. Prócz tego ogarniała ona zawsze dzieci swoje gorącą miłością macierzyńską, z którą nie może iść w porównanie miłość ojcowska. Dziecię jest prawdziwém ciałem, ciała matki, krwią jéj krwi, kością z jéj kości. Ona je pod sercem nosiła, wydała na świat, wykarmiła, wypielęgnowała, wychowała. Ona ten zadatek miłości małżeńskiéj, tę własność ciała swego, okupiła cierpieniem, łzami wesela i pociechy, ale i łzami smutku i żalu oblała, dołożyła wieloletnich znojów i starań; wypieściła, wytuliła; wpatrzyła mu się w duszę,

*) Jest to dalszy ciąg artykułu »o emancypowaniu się stósunków familijnych« umieszczonego w zeszłorocznych numerach pisma naszego, któryśmy dla tego przerwać musieli, by się nie narazić na przedruki. W zeszłym roku bowiem ułożono z większych powieści i rozpraw Dziennika domowego z r. 1840., spore trzy tomiki, które wyszły w drukarni Czecha w Krakowie bez wiedzy i pozwolenia redakcyi. Zresztą rozprawa powyższa dała się właśnie tam rozpołowić, gdzie na takiéj przerwie związek rzeczy nie cierpi. *Przyp. red.*

wyssała zeń tchnienia wszystkie miłości, stokroć łączyła duszę z duszą i stokroć czuła u łona swego, gorące i szybkie bicie dziecięcego serca; — i nie miałażby dla tego wszystkiego całą potęgą miłości, dziecięcia swego ukochać? Nic z tego nie łączy ojca z dziecięciem, i dla tego miłość jego nie tak ognista, zaledwie nieraz przechodzi przywiązanie. Ojciec więcéj obojętny, surowy, może być nawet nieczuły, kiedy matka zawsze czuła, tkliwa, łagodna, pieszcząca, pełna poświęcenia w miłości dla dziecka.

Stósunek zatém dzieci do matki pod wszystkiemi okolicznościami zawsze był ten sam, bo na przyrodzonéj a tém samém jednakiéj wszędzie podstawie oparty. I u dzikich ludów i wśród oświeconych narodów zawsze i wszędzie matka miłością macierzystą miłuje i pieści dziecie swoje, cierpi, pracuje i poświęca się dla nich. Dzieci dla tego zawsze do matek swoich więcéj mają zaufania, poufności i przywiązania, niżeli do ojców. W tym względzie i zwierzęta zbliżają się do człowieka, bo równe są przyrodzenia prawa. Z jakąż to troskliwością pielęgnuje samica młode swoje, kiedy samiec najczęściéj zupełnie na nie obojętny, a niekiedy nawet okrutny rozszarpuje i pożera płód własny! Owa powieść bajeczna o pelikanie, co pierś własną rozdziera i młode krwią swoją napawa, jest symbolem każdéj miłości macierzyńskiéj.

Nie tak się ma ze stósunkiem dzieci do ojca. Brak tak silnego przyrodzonego związku, jak u matek węzeł miłości słaby, a natomiast powaga ojcowska jako coś sztucznego, a tém samém zmieniającego się według czasu i okoliczności, w różnym odstępie trzymała dzieci od siebie. Najbardziéj zaś zależność ta pokazywać się musiała u synów, którzy wyrosłszy na młodzieńców, czują siłę męską w sobie, czują powołanie przyszłe swoje na ojców familii i obywateli, — a mają i muszą być dziećmi. Tu więc ścierać się musiały w kolei wieków i zmian towarzyskich, stósunki familijne, tu tylko najwłaściwiéj mogła tych stósunków zachodzić emancypacya. O niéj przeto głównie mówić będziemy.

Lecz kiedy emancypacya niewiasty, a żony w szczególności, z polecającéj przedstawia się od razu strony, i dla tego tylu wywołała sobie obrońców i rzeczycieli; kiedy upośledzenie kobiety, a bardziéj jeszcze żony w stanie społecznym ma coś rażącego nasze uczucia, a zatém wyzwolenie jéj z takiego poniżenia, widzi się godziwe i słuszne; całkiem inaczéj wydaje się w opinii dzisiejszéj emancypacya dzieci. Rozumieją powszechnie pod tém, wyzwolenie synów i córek z pod władzy rodzicielskiéj, czego skutkiem być musi z jednéj strony nieszacunek, opryskliwość, nieposłuszeństwo dzieci, z drugiéj rozwolnienie obyczajów, zarozumiałość przy braku doświadczenia i nauki, zmarnotrawienie czasu i majątku, a ztąd klęska całego przyszłego pokolenia. I zapewne, dość rzucić okiem na dzisiejszy stan społeczny, mianowicie po stolicach, a stargane zoczymy familijne związki i najochydniejsze obrazy domowego życia wystąpią na jaw, i zagrymaszą obliczem niby jędze piekelne. Przewrócony zupełnie stósunek rodzinny. Dzieci rozpościerają władzę nad rodzicami. Wstydzą się za rodziców, wypierają się ich, albo im jałmużnę dają z miłosierdzia. Córka podnosi rękę na matkę własną. Owdzie syn wyrzuca ojca z domu, i kiedy go dotłacza do progu »stój synu, powiada starzec, tu dotąd i ja mojego ojca wypchnąłem!«

Są to ohydne wizerunki familijnego życia, ale właśnie aby je nie kładzono na karb emancypujących się stósunków familijnych należy nam emancypacyą ich dokładniéj zrozumieć i pojąć; a może z takiego pojęcia, i z dążności rozwijania familijnego żywota na zasadach tego pojęcia, okaże się najwłaściwsze lekarstwo przeciw owéj demoralizacyi obyczajowéj, co się jak rak krzewi i rozmaga w ciele społeczném, ale całkiem inne ma swojego istnienia przyczyny.

Abyśmy zrozumieli potrzebę emancypacyi, a ztąd wnieśli w jakich się zakreślać powinna granicach, obejrzmy się na stósunki rodzinne w różnych epokach społeczeństwa, i u narodów na różnym stopniu oświaty będących. — Są jeszcze ludy dzikie, ludożercze, u których człowiek, jako człowiek, żadnego nie ma znaczenia, stojące zatém na ostatnim szczeblu poznania; jakiémi są np. wyśpiarze morza południowego, i znaczna część ludów afrykańskich. Czyli to był pierwotny stan ludzkości, prawieby temu zaprzeczyć należało. Pierwsze zawiązki towarzystwa, musiały zapewne być łagodniejszych obyczajów; bo to były dzieci natury, zawisłe jeszcze u piersi matki, która im w obfitości wszystkiego starczyła, widzieli Boga w naturze, i czcili i wielbili wielkość Jego. Dopiéro późniéj kiedy ludy odpadły od téj wiary, kiedy dojrzeli we własne siły, owo poniżenie człowieka wzięło dopiéro górę. Ludzie zalegli w niewiadomości i niewoli, i sama siła materyalna była im godłem. Ale czy taki, czy inny był początek takiego stanu społecznego, dość, że natrafiamy nań rzeczywiście, i że tam familia na najwyższem stoi stanowisku.

Według podań missyonarzy w Congo i Loango, i opisu najnowszéj podróży Douvilla, Negrowie w Sudan i w niższéj Gwinei przedstawiają obraz społeczeństwa, którego podstawą jest sama siła matery-

alna. Najgrubsze ztąd u nich bałwochwalstwo, cześć fetyszów, to jest lada przedmiotu. Czczą drzewo, kamień, zwierzęta, ale czczą póty, póki im się dobrze wiedzie, za każdém nieszczęściem, którego to bóstwo odwrócić nie potrafiło, zrzucają je, mszczą się nad niém, i nowego sobie fetysza obierają. Kapłani ich, to czarnoksiężnicy sami, objawiający pomoce w przygodach, upojeni trunkiem i szałem. Nieraz w wściekłości topią nóż, w kimkolwiek z przytomnych, i czarami chłypią krew ciepłą z rany tryskającą. Odbierają cześć i dary, gdy im się uda przynieść pomoc i odwrócić jakie nieszczęście; w przeciwnym razie czekają ich plagi a i śmierć częstokroć. Ich królowie Soba zwani, ku zabawie, lub w złości ścinają głowy poddanym swoim, a pierwszy minister pełni obowiązki mistrza. Król chcący się kogo pozbyć daje mu polecenie, do ojca nieboszczyka, po czém odbierający rozkaz niewolnikom swoim udusić się każe. Ale i królów ta sama czeka kolej. Podróżny angielski Bawtish opowiada, jako dowód przekonywającéj wymowy Negrów, że naczelnicy pokoleń około jeziora Czad w Nigrycyi osiadłych, widząc się zbyt ucisnionymi przez króla, udali się do niego z mową, i wystawili mu, jako już syt panowania, naprzykrzyć i obrzydzić sobie je musiał, i że powinien pozbyć się tego ciężaru. Podziękował im król za tę przychylność i za dobrą radę, udał się do komnaty sypialnéj, i żonom swoim udusić się kazał. Bezkrólewie od czasu śmierci króla aż do obwołania następcy, jest to czas dozwolonego mordu i rabunku, który dopiéro z obwołaniem nowego króla ustaje. Zemsta i wojny domowe jednego pokolenia z drugiem, wyniszczają ród Negrów w głębi kraju; po miastach nadbrzeżnych Europejczykowie kładą tamę mordom, za to po szynkowniach trawią Negrowie ostatki sił, który im z rozwiozłego pozostały życia.

Taki stan religii, rządu i obyczajów każe już wnosić jaka musi być familia. Handel niewolników ma tu swoje gniazdo. Kto mocniejszy przedaje słabszego. Król przedaje poddanych, pan sługi swoje, ojciec familii przedaje żonę, dzieci i braci, dzieci przedają rodziców. Sympatya krwi u matek rozciąga się do dzieci tylko do lat dziecinnych. W 10tym roku dziewczęta, w 14tym chłopcy już są dojrzali wiekiem, już mogą wchodzić w małżeństwa, i już na kilka lat przed tém, nie troszczy się o nich matka, mniéj jeszcze ojciec, który nad całą familią wywiera tylko prawo mocniejszego. Ciągły widok mordu, zemsty i krwi przelewu, widok czaszek i kości trupich, któremi ozdobione bywają mieszkania naczelników, widok ofiar krwawych; wszystko to stępia i wydzicza łagodniejsze z przyrodzenia uczucia kobiet, i w sercach samych matek stłumia przywiązanie do dzieci. Opowiadają missyonarskie sprawozdania o królestwie amazonek w tych stronach, które jakaś królowa ufundowała, że własnego syna poćwiertować kazawszy, włożyła to ciało w naczynie, i chowała jako fetysza w domu swoim, podlewając je co dzień świeżą krwią niewolników, i tak okrutną cześć nakazała innym poddankom swoim.

Tak spaczone i źdźiczałe są tu wyobrażenia familijne. Stósunek dzieci do rodziców, jest na najniższym, bo zwierzęcym stopniu. Miłość trwa w matkach, dopóki karmi i wychowuje dziecie; potém je zaniedbuje. Zupełna obojętność i surowość ojca. Stłumienie zupełne uczuć rodzicielskich, i nawzajem wygaśnienie miłości dzieci do rodziców. Syn i córka, dopóki słabi, są własnością ojca, jak są własnością inne rzeczy i rozporządza tą własnością bez pytania się uczuć serca. Dzieci dorosłe występują z opieki, a raczéj własności rodzicielskiéj. Prawo mocniejszego i tu rozstrzyga; albo obojętność zupełna rodziców i dzieci rozdala od siebie; jak ptaki gdy z gniazd wylotą, nie pytają kto ich rodzice, ani rodzice troszczą się gdzie ich dawne pisklęta.

Dokładają się do tego rozprzężenia familijnego i klimatyczne okoliczności. Pod taką śpieką nieba, że według Douvilla 4go Stycznia o drugiéj godzinie z południa wskazywał termometr Reaumura 35^0 w cieniu, a 44$\frac{1}{2}$^{0} w słońcu, dojrzewa wczas wszystko, i ludzie wczas dojrzewają. W 9tym i 10tym roku dziewczęta już są na wydaniu, a chłopcy żenią się w 12tym i 14tym. Zbyt zatém krótko zostają pod władzą rodzicielską, zbyt krótki czas wspólnego pożycia. A że siły rozumu, nie rozwijają się w równi z funkcyami ciała, wiek zatém młodzieńczy od 14 do 20 roku, w którym kształcą się dopiéro i rozwijają władze umysłu do poznania wyższego; w którym też syn rozpoznaćby i ocenić potrafił stósunek swój do rodziców, — wiek ten całkiem z żywota mieszkańców Nigrycyi wykreślony. Dzieci co do rozumu, stają się ludźmi dojrzałemi co do ciała i dla tego do pojęć dojrzalszych ducha wznieść się nie mogą, mają tylko wyobrażenia potęg działających, zresztą zagrzęzli w materyi, samym zmysłowym rozkoszom ciała oddani. Wódka, lulka i taniec, za témi roskoszami przepada każdy Neger.

Druga klimatyczna okoliczność jest łatwość utrzymania się pod względem odzieży, schronienia, pokarmu i napoju. Negrowie mało co nagość swoją okrywają; lada cień drzewa, lada szałas z gałęzi jest im mieszkaniem; źródlana woda napojem, a palmowe drzewa kollera zwane, wszędzie dziko rosnące, soczysty i pożywny przez cały rok starczają im po-

karm. Dzieci zatém byle się chodzić nauczyły, już same o siebie się starają, same wyżywią, i nie mają żadnéj wdzięczności dla rodziców za wychowanie; raczéj uciekają przed domem rodzicielskim, gdzie ich do roboty naganiają.

Pod takiemi więc okolicznościami dziczeje stósunek familijny. Miłość wrodzona u matek i ojców zaledwie zejdzie w pierwszych dwóch lub trzech latach życia dziecięcia, nie pielęgnowana niczem, słabieje i niszczeje pod chwastem niewoli, tyranii, rozwiozłości obyczai, i wszelkiego gatunku barbarzyństwa. Rozwięzują się więzy rodzinne, niknie familia, i stan społeczny w sobie się rozpada. Ludy te dla tego ani do znaczenia politycznego, ani do dziejów, ani do oświaty, ani wreszcie do rozmnożenia się ludności stósownie do przestrzeni ziemi, dojść nie mogą, bo familia jest każdego wyższego bytu społecznego podstawą.

Z tak niskiego stanowiska u dzikich i barbarzyńskich ludów, dźwiga się familia do wyższego już znaczenia u pokoleń, pod patryarchalnym rządem zostających. Na tém stanowisku wyzwala się też stósunek syna do ojca do wyższéj wartości. Dzieci wprawdzie jeszcze są własnością ojca, ale przestają być rzeczą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nowy kurs prelekcyi Mićkiewicza.

Pierwsza prelekcya.

Dnia 14. Grudnia r. z. Mićkiewicz rozpoczął tegoroczny kurs Literatury Słowiańskiéj. Zarzuty, jakie mu były czynione w roku zeszłym, są wszystkim wiadome; zdaje się iż Mićkiewicz ocenił ich ważność, skoro uznał potrzebę złożyć publiczne tłumaczenie, i widać iż pomimo zapewniania, że i nadal obraną dotychczas drogą iść będzie — wszedł już na tor inny, właściwszy. Cieszymy się z tego — nie żądamy nic więcéj jak prawdy, jak wiernego opowiadania rzeczy; sama prawda wskaże wówczas professorowi, co w téj idei Polski, któréj w tym roku śledzić zamierza, jest żywotnego, ile w niéj przyszłości, a tém samém o ile ona nie tylko wszystkich Słowian, ale i cały zachód wyglądający nowego przeobrażenia się, obchodzi. Ograniczamy dziś na tém nasze uwagi, i podając w całéj rozciągłości prelekcyę Mićkiewicza, zostawiamy sąd o niéj samym czytelnikom.

Panowie! Czuję potrzebę podziękowania wam za przychylność, z jaką słuchaliście mię w roku zeszłym. Słowianie których przebiegaliśmy literaturę są dziećmi ojczyzny, obejmującéj wiele narodów różniących się namiętnościami, potrzebami, interesem, nieprzyjaznych sobie — nie ma między niemi sympatyi wspólnych. Przechodząc prędko historyą patryarchów słowiańskich, zmuszeni byliśmy zmieniać, jeżeli nie ojczyznę, to przynajmniéj zamieszkanie. Interes Polski słabł, ile razy występowałem na territorium rossyjskie, i to mi wyrzucają Polacy. Naganiają znów Rossyanie, iż za wiele rozciągam się nad tém, co oni za swoje prowincye uważają; Multany i Wołoszczyzna że o nich zapominam — zgoła, ile razy wnarodawiam się z jednymi, tracę sympatyą innych. W tym krótkim wstępie, w téj podróży, jaką zrobiliśmy nie ma imion sławnych — powszechnych; często opuściliśmy pomniki będące podziwieniem jednéj prowincyi, jednego narodu, dlatego że nie miały interesu powszechnego. Lecz nie o jednym narodzie mam mówić, ale o literaturze ogólnéj; potrzeba zatem szczegółowo literatury połączyć w jeden punkt ogólny, wznieść się do uwag ogólnych, pożyczyć języka filozoficznego od epoki dzisiejszéj, złączyć myśl jedności słowiańskiéj, z jednością europejską.

Jakiekolwiek są niedogodności, konieczność rzeczy zmusza nas postępować po téj samej drodze, jakąśmy sobie obrali. W roku bieżącym zajmiemy się historyą literatury 17. i 18. wieku, przejdziemy szczegółowo płody polityczne, filozoficzne literatury świeżéj, współczesnéj. Ta praca jest daleko łatwiejszą. W 17. wieku kraje słowiańskie zbliżają się ku Europie, ruch wielki ciągnie je ku zachodowi, carowie, królowie, szlachta, przebiegają zachód, szukają wzorów sztuki. Rassa słowiańska chłonie w siebie ducha europejskiego — tworzy się jakby powierzchnia ludzi ucywilizowanych, którzy stają się europejskiemi — jest to jak fosforyczne światło — ta powierzchnia błyszczy światłem francuzkiém, nie masz w niéj nic rzeczywistego, nie ma życia, jest to światło przechodnie. Byłoby łatwo dać wam poznać dzieła téj epoki, dosyć byłoby przetłumaczyć je i okazać że to były naśladowania dzieł klassycznych z wieku Ludwika 14. i 15. Dla tego też nie zatrzymamy się nad niemi długo, przytoczymy kilka wyjątków — rozważymy szczegółowo jedno tylko dzieło z téj epoki, godne ze wszech miar uwagi, jest to dzieło polskie.

Lecz ta rassa słowiańska tyle razy podbita, zostająca w 17. wieku w niewoli intellektualnéj i moralnéj, zaczyna oddziaływać. Jest to chwila nieoznaczona; powstają dzieła filozofów, poetów, dzieła oryginalne i tym razem Słowianie, przyjmują je za wspólne. Jest to fenomen nadzwyczajny, jest to poszukiwanie jednéj ogólnéj idei.

(Dodatek.)

Dodatek do Nru 1. Dziennika domowego.

Według wyobrażeń i systematów powszechnie przyjętych, każda literatura poczyna się od poezyi, zawsze prawie lirycznéj, religijnéj, która odpowiada stanowi teokratycznemu narodu; następuje późniéj poezya epiczna, odpowiadająca epoce bohaterskiéj — nakoniec wymowa i filozofia dystyllując poetyczne franzesa, zostawia nam prozę jako caput mortuum intellektualnéj pracy. Jest to system przyjęty prawie przez wszystkich. — Inaczéj dzieje się u Słowian.

Okazaliśmy iż u Słowian nie ma mitologii powszechnéj. Epoka mityczna polska różna jest od czeskiéj lub ruskiéj i widzieliśmy poezyę bogatą Serbów — lecz to był przypadek; słuchacze spodziewali się ujrzeć jaką nową Illiadę lub Odysseę — na próżno — poezya ta nie miała przyszłości. Znajdujemy dopiero na ostatniéj karcie historyi narodów sławiańskich, pierwsze strofy natchnione poezyą, które rozwinęły się w poema, jesteśmy przytomni poezyi wielkiéj i mocnéj — wszyscy krytycy uznają jéj siłę, widzą w niéj ruch wzrastający. Ten ruch poetyczny skierowany ku jedności, ku powszechności, poczyna się od obecnego wieku — widzimy jego początek w kilku ostatnich latach panowania cesarza Alexandra. W ostatnich latach tego panowania, ministeryum rossyjskie 1824 i 1825. r. przemogło opór liberalny, weszło na ścieszkę dawną, rossyjską. Sejm polski stawił oppozycyę systematyczną. Było to starcie na śmierć. Słowianie innych narodów, nie biorąc w niém czynnego udziału, obowiali się go, ponieważ osłabiało siły; lecz z wielkiem podziwieniem ludzi politycznych ujrzano o te czasy pieczęć o dwunastu bokach, mającą wyobrażać dwanaście zjednoczonych pokoleń słowiańskich, pierwsza jéj myśl miała przyjść z naddunajskiego kraju.

W tejże saméj epoce spostrzeżono w historyi i poezyi tenże sam ruch — poszukiwanie początków słowiańszczyzny. Archeologowie nawet, ludzie najmniéj niebezpieczni rządowi, i antykwaryusze zwracali się ciągle do początków rassy słowiańskiéj. Zaczęto tłumaczyć iż wszystkie języki słowiańskie są z jednego szczepu; powstały dykcyonarze powszechne, historya powszechna słowiańska, zaczęto we wszystkiem szukać zogólnienia. Polacy i Rossyanie opuszczali jakby naumyślnie w dziełach swych wszystkie drażliwe przedmioty. Polacy zaprzestali sławić bohaterów 16. wieku — Rossyanie zapomnieli o Piotrze i Katarzynie. Poeci polscy opiewali życie domowe, jak Brodziński — obyczaje familijne od Odry do Kamczatki są do siebie podobne. Ziemia ruska oddzielająca Rossyą od Polski, która nigdy nie miała oddzielnego bytu, któréj historya należy do dwóch narodów, polskiego i rossyjskiego, któréj krew jest z temi dwoma narodami zmięszaną, któréj bohatyrowie hołdowali bądź Polsce bądź Rossyi — ziemia ta jest królową poezyi. Zaleski, Puszkin, Rylejew, Goszczyński, śpiewają o tych samych ludziach — krytyka uważa tych autorów jak gdyby pisali dla jednego narodu, nakoniec jeden Czech wydał broszurę po niemiecku i po francuzku, wktóréj reassumuje tę kwestyę, dowodzi łączności pomiędzy literatami słowiańskiemi, wkłada na nich obowiązek wzajemnego poznania ich dialektów. — Pozostaje nam wytłumaczyć ten fenomen literatury powstałéj na grobie dawnych Słowian.

Cesarstwa i królestwa słowiańskie utworzyły się przez podboje, a wykształciła je religia chrześciańska. Rossya i Polska rozwinęły się walcząc z sobą, usiłując zapewnić panowanie każda swojéj idei. Polska miała ideę polityczną, głęboko ugruntowaną na chrystyanizmie, ale nie miała siły własnéj, ciągnęła ją z zachodu do czasu, skoro zaś protestantyzm oddzielił ją od zachodu, Polska wpadła w anarchią, szukając bytu nowego, nie chciała stworzyć u siebie monarchii na podobieństwo monarchii Ludwika 14., ani przyjąć wyobrażeń filozoficznych z 18. wieku, oponowała się jednéj i drugim — w tym względzie podobna jest żydom, którzy chociaż nie mieli mocy zwyciężyć bałwochwalstwa, nie poddali się wszakże bałwanom. Rossya wzmocniona duchem azyatyckim, przyswajając sobie późniéj wyobrażenia filozoficzne 18. wieku, nieznalazła oporu, pozostała zdobywczą — lecz już w jéj rządzie widzimy wahanie się; przytoczyliśmy rok 1825. i dążność ku jedności; rząd znajduje opór w narodzie. Polska od trzech wieków szukając mocy dla swojéj idei, sprawia nieustanne wstrząśnienie. Czesi pracują nad teoryą. Rząd rossyjski musi się zatrzymać, oprzeć się na opinii publicznéj, zmienić swój kierunek, inaczéj będzie opuszczonym przez naród. Wszystkie więc kraje słowiańskie są w uroczystém oczekiwaniu jednéj ogólnéj idei. Jaką ona będzie? Rassa słowiańska będzież pociągnięta ku zdobyczom, albo Polacy w ich pochodzie awanturniczym, który Rossya snem zowie, dadząż początek formule, w któréj interessa i potrzeby wszystkich objęte zostaną? Ta kwestya zajmować nas będzie w tym roku. Jako Słowianin i człowiek epoki poruszającéj wszystkich umysły, czuję się pociągnionym ku téj części mego kursu, i widzę że ona jest zdolną zainteresować Francuzów, bo i stary zachód jest w oczekiwa-

niu, wszyscy filozofowie mówią, iż powinien się przeobrazić, odnowić, wszyscy wierzą wto przeobrażenie, jest ono jasne dla wszystkich, chociaż okazuje się jeszcze waszym poetom w stanie pomroki — będzież to jutrzenka albo zachód wykończonego świata? Jeden z największych waszych poetów oświadcza, iż nic o tém stanowczo powiedzieć nie może; jest podobieństwo iż ta idea będzie ogólną dla wszystkich. Zdarza się w sferze naukowéj, że człowiek nieznany, obcy niejako zwyczajnym naukowym pracom, wyprzedzi nieraz regularny postęp nauki; Kopernik, Kolumb, Mongolfier, przybyli z odkryciami jakie zadziwiły akademie i świat uczony. Będziemy się starali wyjaśnić, o ile podobna, tę ideę ku jakiéj dążą Słowianie, postępując za śladami, za pewnemi punktami horyzontu, według których kieruje się to nowe światło. Gdybyście nawet nie przyjęli żadnego z wyobrażeń słowiańskich, interesem już waszym poznać je. Do wprowadzenia w życie idei, opatrzność zawsze wybiera jeden naród; Francya zrobiła Europę katolicką, Rossyą wyjąwszy. Jeżeli idea ma stanowić moc prawodawczą — musi być i dzisiaj jedna rassa którąby jéj za władzę wykonawczą służyła. Któraż idea zyska sympatyę Słowian? Będzież to idea furyerystów, czy komunistów, czy ludzkości zbiorowéj podług Leroux, nie roztrząsam na teraz, lecz uznaję trudności, niebezpieczeństwo moralnego mego położenia. Potrzeba iżby Francuzi przypomnieli sobie epokę rejencyi, panowanie Ludwika 15. i początek panowania Ludwika 16.; u was także literatura zastępowała kazalnicę, pozostającą w tyle, przysposabiała dziennikarstwo, stowarzyszała wszystkie intellektualności. I u Słowian literatura pełni te obowiązki — ale nie strzegą jéj same trybunały i parlamenta jak w owym czasie we Francyi, zmuszona jest pracować, mając na widoku bastylią, albo raczéj wewnątrz saméj bastylii — wyobrażenia wszakże w miarę przeszkód wzrastają.

Zmuszony jestem zwrócić się teraz do moich braci Słowian, którzy zbyt wielką wagę mojéj pozycyi nadają, uważając moje miejsce jakoby trybunę publiczną, prawie jakby stanowisko wojskowe. Jest u nas pospolite podanie, iż są duchy skazane na milczenie, które otaczają nas zewsząd, i ja jestem otoczony przez nich. Słowianie nie nadużywają nigdy słowa, przywięzują do niego wielką wagę: zdaje im się iż dosyć wymówić słowo, aby rzecz została natychmiast spełnioną, dosyć szepnąć jednemu z tych duchów a rozpocznie dzieło — dziwią się nawet że jeszcze dotąd żadnego skutku nie widzą. Tłum tych duchów rozmaicie przemawia. Rossyanie dopominają się, abym mówił o ich szkołach, instytutach naukowych, podróżach, odkryciach, abym ocenił ich siłę organizacyjną jaką posiadają, abym mówił o ich zdobyczach jakie utrzymać umieją, o téj sile organicznéj, jaka powinna być szacowną w dzisiejszéj burzącéj epoce; geniusz znowu polski chciałby znaleść we mnie organ polityczny. Wśród tych namiętności które drażnię, moje położenie jako professora zdaje się jest inne; sądzę, że z któregokolwiek pochodzi ktoś kraju, powinien przedewszystkiem służyć prawdzie; prawda jest dobrą sprawą, jest interesem ludzkości; zamknąć się w jednéj specyalnéj erudycyi, byłoby to uchybić wysokiéj powadze téj szkoły, byłoby to nieodpowiedzieć interessowi narodu, który utworzył ten zakład — zwrócimy się więc zawsze do kwestyi mogących być użytecznemi dla Francyi, mogących zająć publiczność francuzką; co do Słowian — powinienem być sprawozdawcą wiernym i sumiennym. W obliczu historyi i pomników, należy byc wolnym od namiętności, przeniknąć życie jakie je ożywiało, odbić je w rzeczywistym obrazie — widząc prawdziwe jego rysy, pracujący dla prawdy będą tem zachęceni, a z drugiéj strony jest to najłatwiejszy sposób przezwyciężyć fałszywych, okazując im na tarczy bez zmazy, głowę Gorgony. W.

Angielska literatura.

Ossian.

Pani Talvi wydała w niemieckim języku w r. z. pismo dowodzące nieautentyczności pieśni Ossianowych, a w szczególności Ossiana Macphersona. Jeszcze rok nie upłynął, a już występuje ziomek szkockiego barda, Patrick Macgregor, i nowemi popiera dowodami, iż pieśni Ossiana są prawdziwemi i że Macpherson bynajmniéj nie zasłużył na miano oszusta literackiego, którém go z wielu stron obdarzono. Pan Macgregor wydaje obronę tę w imieniu towarzystwa zwanego *of the Highland-Society of London* i dołącza nowe i dosłowne tłumaczenie gaelickiego oryginału, pod tytułem: *„The genuine remains of Ossian, litterally translated. With a preliminary dissertation. By Patrick M'Gregor, M. A. London*, 1841.“ Gdyby takie dosłowne tłumaczenie miała przed sobą rzeczona niemiecka autorka, wstrzymałaby się zapewne od rzucania pocisków na Macphersona i na tak zwany przez nią oryginał Ossianowy.

Pieśni Ossiana, tak jak je Macpherson wydał, nie mają nic gminnego, pełne są sztucznéj nadętotości i to właśnie uczyniło je podejrzanemi w oczach pani Talvi. Wcale inaczéj wydają się w dosłownem tłumaczeniu Macgregora. Wybryczna romantyczność i napuszystość były wyłącznym dodatkiem Macphersona, wszystkie przecie pieśni, które dodatkami przypstrzył, są niezaprzeczoną własnością starożytnego gaelickiego barda Ossiana. Pan Macgregor powiada o swoim poprzedniku: »Macpherson wprawdzie utrzymuje, iż dosłownie tłumaczył, dodawał przecie całe wiersze, inne opuszczał, inne jeszcze zmieniał podług upodobania. Żaden z frazesów ulubionych Macpherona nie znachodzi się w gaelickim oryginale, jak np. »inne dni,« — »inne lata,« — »uroczystość czar,« »łagodne zarumienienie,« »ciemny zerw skały« i t. d. — Pan Macgregor całą czystość przywraca starożytnemu poecie, wiersz po wierszu następuje jak w oryginale, nawet dochował miarę sylab w tłumaczeniu. Miło nam donieść o tém wydarzeniu literackiém, ile że pieśni Ossiana od lat 60 wielki obudzały interes w czytającéj naszéj publiczności.

ROZMAITOŚCI.

Podobne poznańskiemu, utworzyło się także w Berlinie towarzystwo uczonych, którzy od nowego roku publiczne rozpoczną prelekcye. Puszczona w obieg lista subskrybentów, tak dalece zapełnioną została podpisami, iż ogromna sala akademii śpiewu, zaledwie ich pomieścić zdoła. Cieszy się Berlin, iż przystęp do tych prelekcyi, nie jest żadnemi ograniczony warunkami, które zazwyczaj więcéj cechę noszą kastowych wymagalności, aniżeli pożytku. Dosyć aby kto uczuł w sobie chęć do kształcenia się i podał imie swe w liczbę słuchaczów, a już zostanie przyjętym, bez żadnych zaświadczeń z złożonych egzaminów i szkół odbytych. Ta dążność, to parcie do wykładów publicznych, jest jedném z potrzeb czasowych. Wolność i jawność wykładu w zawodzie umiejętności, jest pięknym i zbawiennym postępem. Warto, aby u nas w przekonanie to wrosło, aby większa liczba niż dotąd słuchaczy, imiona swe na listach subskrybentów zapisała, bo zwiedzających prelekcye poznańskie znakomita jest wprawdzie liczba, zapisanych na listach nader szczupła.

Z Paryża, dnia 23. Grudnia r. z. Znane są wszystkim proroctwa wrześniowe, w które niewinnego uwikłano Mićkiewicza. Towiański przecie daléj ciągnie swe krotochwile prorocze, ale już sam na własną rękę. Mićkiewicz i Górecki odstąpili go. Pod dniem 8. Grudnia ogłosił on list datowany z kościoła St. Sévérin w Paryżu, w którym zawiadomia iż: »Przenajświętsza królowa korony Polskiéj, upodobała sobie w starożytnéj opuszczonéj kaplicy, w stronie najmniéj okazałéj Paryża, — i tam w cudownym obrazie wileńskim ostrobramskim ku ratunkowi ludu swojego pośpiesza« — nie dość na tém, na dzień 18. Grudnia zaprosił na mszę, ale tym razem już tylko 17 znalazło się ciekawych.

Siła galwaniczna w nowy sposób zostósowaną została i to do ochrony ziół przed robakami i ślimakami. Biorą na ten cel dwie obrączki, cynkową i miedzianą, do siebie przystające i temi otaczają zioło ochronić się mające. Skoro robak lub ślimak dotknie się miedzi, odbiera uderzenie galwaniczne i spada. Aparat ten działa w porze suchéj i dżdżystéj. Wynalazca Anglik, nazwiskiem Euthbert używa środka tego od roku i zaręcza, że wszystkie zioła tym sposobem ochronił przed robakami.

W Belgii i we Francyi poczyna się zbytek wkradać do obchodów weselnych, które wiele kosztują i kilka dni trwają. Tak jedna gazeta donosi o wielkiém weselu w Bretanii. Pięćset gości było zaproszonych, takaż liczba siadła na koń i towarzyszyła młodéj parze do kościoła. Wielką rzeź sprawiono między drobiazgiem, skopami i bydłem, jedzono, tańczono, grano przez całe dni ośm.

Na obiedzie professorów berlińskich w dniu urodzin królewskich, powiedział Gabler na powitanie Schellinga między innemi: że wielki ten filozof zawsze był polubieńcem książąt i opływał w bogactwa i cześć, gdy innym filozofom przeciwnie się działo. To — powiada gazeta für die elegante Welt, — nie zakrawa bynajmniéj na przymierze pokoju między filozofią Hegla i Schellinga, i mimo uręczeń gazety augsburskiéj, będzie tam bój na śmierć.

Przysłowie, „nie dał pan Bóg świni rogów, boby bodła,« już teraz nie jest stósownem. Znajduje się bowiem mnóstwo świn na wyspach Sunda, które na łbach mają rogi. Po spaleniu borów na Jawie i Sumatrze, całe trzody świn rogatych wysypały się na plantacye i spustoszyły nieprzejrzane niwy herbaty, indigo, trzciny cukrowéj i kawy. Dla tego mieszkańcy tych wysp założyli wielkie polowanie na tak szkodliwą rogaciznę. Rogi te są na 5 cali długie, proste lub w tył zakrzywione.

W wielkiéj operze w Paryżu sposobią się teraz do przedstawienia nowéj opery Halewego „*La croix de Malte*,“ tekst Scribego i St. Georges. Duprez, Baroilhet, pani Stoltz i Massol wystąpią w niéj. Chwalą szczególniéj kwartet tych czterech artystów. Tymczasem wabi głos Poultiera bednarczyka, o którym już podwakroć w naszém pismie wspomnieliśmy, — publiczność nazywa go le tonnelier. La Muette, Tell i la Juive nowego nabyły przezeń uroku. Głos jego płynny, okrągły, miły, o pierwszeństwo śmiało może walczyć z Mario, pierwszym tenorystą włoskiéj opery, i za każdem wystąpieniem nabiera nowéj siły i łatwości. Duprez z trudnością wyśpiewa sobie teraz poklaski, jakie Poultier odbiera.

Sobolewski w Królewcu pracuje nad swemi oratoriami, »Janem« i „nocą świętą.«

MODY. — Paryż, dnia 28. Grudnia 1841. Kaszemiry, alpacca, szkockie kaszemiry, wełniane dreliszki, sukna żylaste, najczęściéj wyrabiają na szlafroczki z gładkim stanikiem i obcisłemi rękawami, których wystrój stanowią paski aksamitne lub guziki, albo pasamony. Szlafroczki te po większéj części mają wielkie kołnierze pelerynowe z podobnéj tkaniny lub futra. Pojedyńczy kapelusz aksamitny, zdobny aksamitem, zupełnie do tego stósuje się ubioru.

Najczęściéj zdobią kapelusze aksamitne piórami, czasem podszywają część wewnętrzną obwodu atłasem lub aksamitem w innym kolorze. Wówczas pióra i wstążki odpowiadają w pewnéj części podszyciu.

Kapotki bywają ściągane i z niestrzyżonego aksamitu lub atłasu. Wielkiém stroją je piórem, słaniającem się po obwodzie lub bukietem z małych piórek, głęboko z boku upiętym.

Czepki mniéj noszą osunięte na tył głowy pod obwodem kapeluszy. Więcéj widać wstążek atłasowych lub aksamitnych, aniżeli kwiatów.

Stroje głowy na wieczory są w tym roku bardzo rozmaite. Do zwyczajnych turbanów, z gazy połyskującéj złotem lub srebrem, z aksamitnych rulek i jedwabnych frezli w jaskrawych kolorach, przybyły syryjskie i maurytańskie. Te, które hiszpańskiemi zowią, są półturbany z aksamitu, czerwone i czarne, z złotą resillą.

Zwracamy uwagę, że czepeczki teraz nie tak głęboko po licach nadół zachodzą. Czepeczki à la Montespan, à la Pompadour, à la Dubarry, à la Marquise, à l'oeul de boeuf są poczęści sobie podobne i złożone z bufkowanego tulu. Różnią się tylko wystrojem, któren z mniejszéj lub większéj liczby składa się róż bez liścia. Maryi Ludwiki czepeczki mają małe denko i kwiaty na skroniach; szeroki pas z téj saméj tkaniny co denko, przechodzi gładko przez czubek głowy i opada ku piersiom, pokrywszy kwiaty na bokach przypięte. Czepeczki zakonne ztąd odebrały nazwisko, iż pasek koronkowy lub blondynowy przez czoło przechodzi. Czepeczki purytańskie są podobne do chatelain-czepeczków, gdyż barbka koronkowa stanowi część główną, a zamiast wystroju i kwiatów widać tylko wstążki po licach opadające.

Na balach ukażą się suknie z tarlatanu, z girlandami kwiatów, np. różowe z białemi haftami, paliowe z jasno-niebieskiemi, o trzech lub pięciu fałdach. Także modnemi będą suknie z tulu illuzyjnego w rozmaitych kolorach, z podobnemi spodnicami, po każdéj stronie ujęte w kokardy kwiatów lub pereł.

Na wielkie wieczory brać będą suknie aksamitne lub też z lekszych tkanin te damy, które nie tańczą. Suknie te z przodu być mają otwarte i od przepaski aż do dołu zdobne kokardami koronek i wstążek w kształt fartuszka.

Objaśnienie ryciny.

1. Frak czarny z wązkim i niskim kołnierzem, szerokiemi połami. Kamizelka aksamitna zielona, krawat biały.
2. Kapelusz atłasowy, zdobny blondyną i jedném piórem. Krótki płaszcz aksamitny, z długim kołnierzem i bufkową osadą. Suknia jedwabna.
3. Kapelusz jak u 2. Mantylla z wystrojem sznurowym. Zarękawek gronostajowy. Suknia jedwabna jednokolorowa.
4. Kapelusz aksamitny, zdobny wstążkami aksamitnemi. Szlafroczek oszyty pasamonami. Rękawy obcisłe.
5. Kapelusz atłasowy, zdobny ptakiem rajskim. Opończa z szeroką frezlą i oszyta pasamonami. Suknia suta jedwabna.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*

